16 stron druku. Cena numeru **20** groszy.
Rok II. Tarnów, styczeń luty 1932 r. Nr. 4.

# CZYN

PISMO MŁODZIEŻY SZKÓŁ ŚREDNICH.

**Wydawca: Organizacje Szkół średnich.** **Adres Redakcji i Administracji: Tarnów, I. państw. Gimnazjum**
Godziny urzędowe w soboty od 5—6. Konto czekowe P. K. O. Kraków Nr. 412.111.



## W dniu Imienin Pana Prezydenta.

Echem radości i chwały rozkołysała się ziemia mazowiecka. Stare lipy, ocieniające zaciszny dworek szlachecki w Mierzanowie, cichym poszumem powtarzają imię, które dziś jaśnieje blaskiem chwały, imię Tego, któremu naród powierzył godność pierwszego urzędnika Rzeczypospolitej.

Cały kraj rozbrzmiewa potężnym akordem miłości patrjotycznej. A w podziemiach katedry wawelskiej raduje się duch Jagiełłów i Sobieskich; godny to Następca zasiadł na ich tronie—potomek tych, którzy w roku 1830 i 63 nieśli życie za wolność Ojczyzny.

Dwadzieścia trzy wieki przed nami snuł genjusz Platona marzenia, że rządcami państwa winni być uczeni. I oto 1 czerwca 1926 roku spełniła się ta utopja w Polsce: Warszawa otwarła swe bramy uczonemu, którego świat cały podziwia. A kiedy Prezydent Mościcki stanął na czele państwa, cały kraj i cały naród odczuł błogosławieństwo Jego rządów.

— — — — — — — — — — —

Cofnijmy się myślą w przeszłość i spójrzmy na prace i trudy życia świetlanej postaci Pana Prezydenta.

Stawmy sobie przed oczy czasy, kiedy Pan Prezydent zdobywał sławę uczonego, kiedy, bolejąc nad tragedją narodu, pracował owocnie dla jego lepszej przyszłości.

Jak większość naszych bohaterów pióra i oręża, musiał przeciwstawić się obcej przemocy. Zmuszony wskutek prześladowań politycznych ze strony rządu rosyjskiego do opuszczenia granic imperjum, uzupełnia zagranicą wiedzę zdobytą w Warszawie oraz na politechnice ryskiej.

W roku 1897 otrzymuje katedrę fizyki na uniwersytecie we Fryburgu; odtąd zaczyna okres żmudnej piętnastoletniej pracy twórczej, pracy zdala od kraju ojczystego, lecz dla jego dobra i sławy, okres bohaterstwa na polu wynalazków. Prace w dziedzinie chemji i elektrotechniki przyniosły bezpośrednie korzyści państwom zachodnim, jednając sławę polskiemu uczonemu i stawiając Go obok najbardziej zasłużonych dla ludzkości.

Okryty chwałą wraca do kraju i jemu poświęca swą wiedzę i energję i staje się twórcą polskiego przemysłu chemicznego. Przez dłuższy czas politechnika lwowska szczyciła się Jego kierownictwem.

Z chwilą odzyskania niepodległości naczelnem dążeniem Ignacego Mościckiego jest zrealizowanie jego myśli przewodniej: danie odrodzonemu państwu instytutu chemicznego, jako rękojmi podniesienia rolnictwa. Wynikiem tych szlachetnych prac i dążeń jest powstanie takich placówek nauki i przemysłu, jak Chorzów i Mościce, które nadal są jakby warsztatem pracy Pana Prezydenta.

Niemniej jednak przedmiotem Jego troski jest cały naród i tradycja narodowa.

Polska pod Jego kierownictwem wchodzi w nowe ery życia, z nadzieją w wielką przyszłość.

W dniu imienin Najjaśniejszego Pana Prezydenta cała młodzież polska składa hołd i cześć swemu duchowemu Przewodnikowi.

*Janina Wałęzanka*
**kl. VIII. gimn. im. E. Orzeszkowej.**



STEFAN SILBIGER.

# Chleb powszedni młodzieży.

Było to w roku 1817 na jesieni — we Wilnie: niepozorni, mali, cisi i pracowici ludzie, przyjaciele nauki, studenci wyższych uczelni pragną skierować swe kroki ku lepszemu jutru, dążą ku moralnemu odrodzeniu, ku poprawie błędów przeszłości, ku doskonaleniu się, ku odrodzeniu umysłowemu i moralnemu — to wszystko według nich wyjść może tylko z grona młodych i dlatego do pracy swej wciągają rzesze wileńskiej młodzieży. Tak więc powstają związki promienistych, później filaretów, przyjaciół cnoty, pod której sztandarem rozwija młodzież żywotną i owocną działalność.

Rok 1823 zastaje młodzież w murach więzienia; sześć miesięcy w tych murach spędzonych — to szkoła przygotowująca silne dusze ludzi, umiejących cierpieć za ideały. Sybir — to z dumą znoszona służba.

Rzecz dzieje się w roku 1930. We wolnej, Odrodzonej i Niepodległej Ojczyźnie, w dobrych, harmonijnych warunkach moralnych i fizycznych kształci i rozwija się polska młodzież.

Karmiona do syta literaturą i historją ojczystą, wyciąga ramiona do pracy, patrzy, myśli, zwolna przestępuje z nogi na nogę, spokojnie myśli... i czeka. Niestety, niewiadomo na co! A żyć trzeba Do życia konieczny jest chleb. I to nietylko taki, którym prędko nasycić można swój żołądek zgłodniały, lecz koniecznie trzeba i tego chleba, którym powoli zaspakaja się głód umysłu i charakteru, który stanowi fundament budowy duchowej jednostki, społeczeństwa — i przyszłego obywatela. Będą tacy, którzy machną ręką i stanowczo stwierdzą, iż są to rzeczy stare, iż rozwój duchowy młodzieży idzie biegiem naturalnych wypadków i nie należy go kierować na nowe tory, karmiąc sztucznemi odżywkami.

Otóż na nas, młodzieży, leży obowiązek stworzenia chleba powszedniego dla nas samych, wzorując się na kadrach młodych Wileńczyków z 1817

roku, uważając, iż odrodzenie moralne społeczeństwa i skierowanie na właściwą drogę grup, błądzących po bezdrożach bez ideałów, wreszcie wszelka działalność państwowotwórcza i obywatelska wyjść może i powinna jedynie od młodzieży.

Musimy więc tworzyć współczesnych filomatów—przyjaciół nauki i filaretów przyjaciół cnoty.

Młodzież współczesna, jak i niemal cały świat, dzieli się na dwa obozy: jedni to zwolennicy rozwoju techniki, drudzy to wielbiciele idei humanizmu. Dwa te obozy zwalczają się wzajemnie. Pierwszy reprezentuje utylitaryzm, drugi — idealizm. My, młodzież mamy wolny wybór: kształcić umysł techniką, a serce poić utylitaryzmem, albo też być humanistami w myśli, a idealistami w czynie. Wszystkie nasze poczynania muszą być skierowane ku dobru Państwa i Narodu. Musimy się więc zastanowić, jakie dziedziny stać się mają naszym chlebem powszednim.

Sięgnijmy w przeszłość i przypomnijmy sobie zaczątki prądów naukowych i stopniowy rozwój tychże.

Wiek piętnasty jest okresem rewolucyj, okresem załamania się scholastycyzmu. Blask światła pada na człowieka — człowiek staje się przedmiotem badań naukowych. Sprawiła to potężna siła, jaką jest humanizm. Polska jest jego polem działania i żyje jego odżywczemi sokami.

Odrodzenie literatury greckiej i rzymskiej i wpływ jej na literaturę współczesną przyczynił się w znacznej mierze do rozwoju humanizmu, który wędrując z zachodu, począł krzewić się w Polsce, nawołując ogół do wolności myśli i do czynu. Humanizm pobudził umysł ludzki do najżywszej działalności, nakazując mu wnikanie w tajniki duszy ludzkiej, badanie naukowe natury, by móc tem więcej podziwiać i wielbić potęgę Stwórcy. Zdobywa on w Polsce coraz większe zastępy swych wyznawców. Panuje on wszędzie: humanistą jest król, rolnik i mieszczanin.

Równolegle do humanizmu powstaje w Polsce drugi kierunek, dążący do zużytkowania sił przyrody w celu ułatwienia życia człowiekowi — to technika.

Humanizm to skierowanie uwagi człowieka — technika to ułatwienie życia temu człowiekowi.

Dzieła literatury klasycznej przyczyniły się do rozwoju humanizmu, te same dzieła, to jest konieczność rozpowszechnienia tych dzieł, stworzyła technikę.

Widzimy więc, jak łączą się niby dwa ogniwa oplatającego łańcucha myśl człowieka — humanizm i czyn — technika.

Z biegiem lat następuje ewolucja tych prądów. Nauki humanistyczne karmią najwyborowszym chlebem ścisłej wiedzy umysły i charaktery młodzieży, przygotowując ją do studjów we wszystkich dziedzinach. Charaktery nasze kształćmy idealizmem, zwalczając egoistyczne dążności materjalistyczne, pracujmy dla dobra nauki i ludzkości, a praca ta niechaj będzie chlebem powszednim młodzieży, wiernej ostoi ojczyzny.

# Idea samokształcenia u młodzieży.

W życiu każdego prawie młodzieńca przychodzi okres, kiedy, jak się to mówi, zaczyna „myśleć poważnie". Dzieje się to w czasie, kiedy zbliża się do tego wielkiego morza, jakiem jest życie, kiedy zaczyna spostrzegać wzory niedoścignione — ludzi, których zaletą jest cicha praca i gorliwość — owe gwiazdy przewodnie, których światło rozlewa się na całą ludzkość. Rodzi się wówczas w nim gwałtowna chęć doskonalenia ducha i powstaje wielki głód wiedzy. Jeżeli wówczas idzie za głosem wewnętrznym, jeżeli potrafi wzlecieć w sferę wielkich duchów, rozpoczyna się u młodzieńca okres samokształcenia. Jak długo istnieje podobna nam młodzież, zawsze pielęgnowała ona ideały samokształcenia i umieszczała w nich swe najwyższe cele. Historja tego ciekawego, a nieznanego ruchu młodzieży obejmuje przeszło wiek.

Kiedy z utratą niepodległości „bogowie", jak mówi Homer „połowę duszy niewolnikom odebrali", kiedy wskutek atmosfery zaborów umysł Polaków, unoszący się dawniej do wielkich rzeczy, zepchnięty został do ślimaczej skorupy egoizmu, wtedy przyszli z planem naprawy Filomaci. Postanowili „dobro dobrym sposobem zaprowadzać" i służyć narodowi, wybrawszy do tego najpiękniejszą drogę — drogę oświecenia. Zebrała się nieliczna garstka młodzieży, która nie chciała, aby ich imiona razem z bytem w niepamięć się zatraciły, którzy nie chcieli zagrzebać swoich zdolności i zginąć w tłumie. Rzucili się do gorliwej i intenzywnej pracy nad opanowaniem twórczości ludzkiej myśli, krzepiąc się atmosferą fenomenalnej przyjaźni. Wychodzili z ich grona organizatorowie młodzieży, którzy przykładem swego pracowitego życia dla przyszłości narodu i dla swej doskonałości pociągali rzesze.

*Młodzież zawsze jest skłonna ku szlachetnemu myśleniu i ideałom, potrzebuje tylko przewodników i to z jej grona.* Tę rolę spełnili Filomaci wśród młodzieży czasów niewoli, stwarzając wzór dla potomnych: przemienili ducha młodzieży, *wnawiając* w nią idealizm, zdolność przynajmniej do myślenia o wielkich celach, a równocześnie demonstrując swe ideały w życiu. Korzyści z tego pierwszego koła samokształcenia były ogromne. Można twierdzić śmiało, że Mickiewicz bez Filomatów nie byłby sobą.

Patrjotyzm raz obudzony ciągnął się przez wiek, a pierwszym i najmniej radykalnym jego stopniem były kółka samokształcenia. Były one zjawiskiem powszechnem, a znamy ich epopeje z literatury

W strachu przed szpiegującemi oczyma schodziły się grupki studentów po strychach i ruderach, aby czas spędzić na zasilaniu się pokarmem polskiego słowa i na swobodnej wymianie myśli. Podtrzymywani ciepłem otaczających serc, tworzyli światy z własnych pojęć i przekonań, przeżywając równocześnie najpromienniejsze chwile górnej młodości.

Zazwyczaj tragicznie kończyły się te zebrania Kiedy spojrzymy do opisów najbardziej źródłowych, Stefana Żeromskiego w „Syzyfowych pracach" i przyglądniemy się ówczesnej młodzieży gimnazjalnej, rzuci nam się w oczy różnica między nimi, a nami. Inni to byli ludzie. Szli w życie z rozmachem, świadomi swych celów i zadań, chciwi pracy i walki z życiem. W zimnych stancjach na poddaszu nabierały sił przyszłe tytany wstającej Polski.

* * *

Zawsze ruch samokształceniowy był wykładnikiem idealizmu młodych. W dzisiejszych czasach, charakterystyczna rzecz, ruch ten zamarł zupełnie. Czy nie wartoby go wskrzesić? *O-X-X.*

# O typ człowieka-kondensatora.

W obecnych czasach podobno coraz trudniej oddychać w atmosferze przeludnienia, a tem samem otrzymać jakiekolwiek stanowisko, względnie pracę z powodu „nadprodukcji" ludzkich jednostek, noszących na sobie piętno — „skończonych". Myśliciele całego świata polecają na te „fermenty" redukcyjno-kryzysowe najrozmaitsze recepty:

Ameryka np. zamierza wydać otwartą walkę wszelkim motorom i ich stalowym członkom, które robią wielką konkurencję założonym bezradnie rękom miljonów bezrobotnych. Człowiek bowiem w ich oczach jest najidealniejszą maszyną na świecie, bo robi różne inne maszyny i zastępuje najbardziej skomplikowane. Pomysł ten niebawem może uratować Amerykę. Ale cóż Europa? Jakie wyjście dla nas Polaków?

Nie mamy przecież na tyle maszyn, aby je rozbijać; przeciwnie, czujemy wielki ich brak, a na dowód przytoczę bardzo dotkliwie odczuwany brak — choćby własnej — maszyny rotacyjnej przy naszem wydawnictwie.

Jakiż więc jest dla nas ratunek?

Rozumie się, że inny, niż dla Nowego Świata, jednak niemniej pewny od poprzedniego, a jest nim uniwersalność, a przynajmniej wielostronność wykształcenia.

Jakiego człowieka chce stworzyć dzisiejszy świat? Człowieka, któryby był skondensowanym całokształtem wiadomości i umiejętności. Dowiedzieć się o tem można bodaj z dzienników, w których inseraty zapełnione są ogłoszeniami: że poszukuje się np. panienki do wszystkiego, albo nauczycielki do dzieci znającej języki, szycie, kuchnię i dojenie krów; to znów fachowca — szofera, wyszkolonego w hodowli, który mógłby być zarazem dozorcą i gajowym.

W Danji już dawno wymagają od pastucha średniego wykształcenia fachowego, lecz nie żądają od niego innych jakichś specjalnych zdolności, nie mających żadnego związku z jego specjalnością, — czego doszukają się dzisiaj powszechnie u pracowników.

Już Molier, żyjący dwa wieki wstecz, stwarza podobny typ człowieka, który zależnie od życzenia swego pana „Skąpca"—stawał przed nim to w roli lokaja, to w roli portjera...

Nam młodym, przygotowującym się do wegetacji w takich warunkach, daje to dużo do myślenia, a zarazem skłania do natychmiastowego zaznajamiania się—poza nauką, choćby zupełnie prywatnie — ze śrubstakiem, kielnią i heblem. Dobrze przytem ukończyć kursa szoferskie, umieć malować obrazy, pokoje, pisać wiersze lub grube tomy „O naprawie ustroju społecznego"; być redaktorem, myśliwym, astronomem, mieć aparat fotograficzny, łódkę, własnej roboty obuwie i t. d., aby całkowicie odpowiedzieć dzisiejszym wymaganiom. Im dłuższa kolumna reklamująca fachowość danego osobnika, jak ongiś pochwalnych tytułów przy nazwiskach wielmożów — tem pewniejszy byt i celniejsze miejsce w wyścigu pracy, który jest hasłem na dni nasze.

*Józef Mirek*, szk. ogr.

# Ofiara półrocza.

Zygmuś nie czuł się dobrze. Oddawna dręczyły go jakieś nieokreślone, uporczywe przeczucia, które nawet sen mu zakłócały, odbierały humor i tak w ostatnich kryzysowych czasach mocno nadwerężony i dręczyły szczególnie, gdy w samotności o nich myślał.

Zygmuś chudł w oczach.

Coś się w jego duszy działo ważnego, jakaś wielka rewolucja, a poznawali to koledzy i spoglądali na niego pytającym wzrokiem, poznawały koleżanki, kiedy Zygmuś uśmiechał się do nich nie tak jak słodko dawniej, poznawali wszyscy, że coś się w myślach urwisza — szóstoklasisty — dzieje, że staje się z dnia na dzień poważniejszym, czy smutniejszym, i dziwili się.

Co się Zygmusiowi dzieje, nikt nie wiedział — chyba może jego profesorzy. Zygmuś był zawsze szybkim w działaniu i jeszcze szybszym w myśleniu. Robota paliła mu się w rękach. Tak też było z nauką przez całe półrocze. Teraz więc postanowił rozliczyć się z sobą i znaleźć drogę wyjścia ze swego strasznego położenia.

Był sam.

— Tak dalej być nie może! Trzeba zdecydować się na krok stanowczy — krzyczał w myśli.

Opadł go straszny pesymizm, po jego głowie poczęły hasać głębokie, filozoficzne myśli — objaw najwyższego zaniku świadomości.

— Czy znosić strzały losu gwałtownika?

Czy też może broń podnieść przeciw temu morzu cierpień?

Tak. Już się zdecydował.

— Istotnie położenie z jedynem wyjściem. Wszyscy mówią, żem ambitny. Ba! nawet pan profesor łaciny mi powiedział, żem leniwy wprawdzie, ale ambitny. Trzeba będzie skończyć samobójczą śmiercią! A szkoda, że tak wypadło w połowie szóstej klasy. Bo po skończonych sześciu klasach już można przynajmniej mieć ulgi przy wojsku.

Myślał chaotycznie, ale z zimną rozwagą, plan dojrzewał.

— Trzeba wybrać jakiś środek śmiercionośny. Ale z tem się trzeba liczyć, że to kryzys — więc rewolwer i „Ratopax" odpada.

# Czarodziejski dywan.

Tęsknota do pokonania przestrzeni powietrznych istniała zawsze w tajnikach duszy ludzkiej. Wypływa ona bowiem z istoty życia ludzkiego i jego przeznaczeń. Pragnienie oderwania się od ziemi, pokonania siły ciążenia ku niej — to wyraz dążności do uwolnienia ducha i ciążących mu więzów ciała i poderwania go ku górze, ku ideałom wiecznej wolności. Pragnienie to przynosi człowiek ze sobą na świat i jest ono najszlachetniejszym z jego instynktów. Różne jednak formy przybiera ono w wyobraźni ludzkiej. Człowiek Wschodu, człowiek obdarzony bujną wyobraźnią i wielkiem poczuciem piękna, ale przytem bierny i wygodny, wymarzył sobie czarodziejski dywan, któryby mu pozwolił wznieść się ponad ziemię i bujać w obłokach, podziwiając cuda przyrody. Dywan ten miał być środkiem komunikacji, ale środkiem niewymagającym w pracy udziału człowieka.

W inny sposób usiłował rozwiązać ten problem Grek. Zazdrośnie obserwując swobodny lot ptaków, zamarzył o podniebnych drogach i tę swoją tęsknotę do wzniesienia się ku słońcu wyraził w prześlicznem podaniu o Dedalu i Ikarze. Grek jednak czuł swą bezsilność wobec natury, która nie dała mu skrzydeł. Oto Ikar, to uosobnienie tęsknoty ludzkiej, ginie w falach morza. Grek, przedstawiciel kultury duchowej i teofizycznej nie czuł się na siłach do podjęcia walki z prawami natury.

Przeszły wieki. Na zachodzie wyrosła inna kultura, kultura oparta na realiźmie, służąca człowiekowi i jego ciągle wzrastającym wymogom. Pragnienie wzniesienia się w przestworza trwało ciągle w duszy człowieka, ale znalazło tu inną formę, formę bardziej prawdopodobną do zrealizowania, formę maszyny, kierowanej ręką człowieka. I forma ta znalazła urzeczywistnienie po wielu trudach i wysiłkach. Przestworza nie tak łatwo ustąpiły człowiekowi, przyzwyczajonemu do pełzania po ziemi. Walka porwała wiele istnień genjalnych, śmiałych i zapalonych do czynu. Ale cóż się na świecie zdobywa bez ofiar? Walkę wytrwałą uwieńczyło zwycięstwo. I oto dziś człowiek napełnia obłoki warkotem motorów, głoszących chwałę genjuszu ludzkiego i szydzących z oporu ziemskiej bryły. Przestworza i dziś jeszcze porywają zdradliwie ofiary, przerzedzając szeregi swych zdobywców, ale są to już ostatnie wybuchy bezsilnej mściwości.

Czyż czarodziejski dywan człowieka Wschodu stracił co na uroku w realizacji człowieka zachodnio-europejskiej kultury? Nie! Poezja nierealnych marzeń zmieniła się w poezję zwycięskiego trudu, w pieśń triumfu owocnego i trwałego.

*N. N.* Kl. VI. Gimnazjum S. S. Urszulanek.

## *Przy kominku.*

*Na kominku ogień gaśnie,*
*Dorzuć drew...*
*Czarodziejskie snuć chcę baśnie,*
*Niech znów iskry sypną w górę*
*I rozpalą się w purpurę*
*Jako krew...*
*Tam za oknem zawierucha,*
*Snieżna dal...*
*Tu w pokoju cisza głucha,*
*Gdzieś po kątach baśń się mota,*
*W mojem sercu drży tęsknota,*
*Płacze żal...*
*Na kominku ogień gaśnie,*
*Gasną skry...*
*Mróz na szybach iskrzy baśnie.*
*W sercu marzeń kwiaty rosną...*
*Za daleką tęskniąc wiosną,*
*Ronię łzy...*

*I. K. VIII. kl. S. S. Urszulanek.*

---

Możeby więc poprostu powiesić się? Cóż — kiedy szelki ma w 3 i pół kawałkach na agrafkach, a chusteczki od pewnego czasu nie używa. Klapa z powieszeniem. Możeby się jednak dało utopić? Naprzykład w Ogrodzie Strzeleckim w przerębli. Bajeczny pomysł!

Desperat wybiegł z domu i wkrótce uczuł się w parku. Skierował swe kroki ku stawowi. Tu jednak stanął zdumiony i przez ułamek sekundy włosy stanęły mu dęba. Nad przeręblą zebrał się tłum ludzi, który popychał się i kotłował. Zupełnie, jak przed kasą na program szkolny. Przybyli policjanci z trudem utrzymywali porządek. Kiedy Zygmuś się zbliżył, krzyknął ktoś na niego: Hallo! Panie łaskawy! Do ogonka!

Szczęśliwcy, którzy stali na przedzie po kolei skakali w wodę i topili się. Strażnik przy pomocy wędki wyławiał ich ciała w przeciwnej stronie stawu.

Zygmuś widząc tak niebywały natłok, zrezygnował z tego rodzaju śmierci i przygnębiony wyszedł na ulicę.

Po drodze błysnęła mu genjalna poprostu myśl: — Jeżeli zegarki podkłada się pod tramwaj, to dlaczegóż ja ze sobą nie mógłbym tego samego uczynić. I już był gotów do tego kroku, ale zreflektowała go myśl prosta, rozsądna i praktyczna.

— Tramwaj jest to instytucja miejska, a jeżeli tak — to mi gotowi jeszcze nałożyć podatek komunalny.

W następnym kwadransie wpadł na myśl ze wszystkich dotychczasowych najlepszą: podłożyć się pod pociąg. Rozumie się pociąg pospieszny, bo jak już jechać na tamten świat, to przynajmniej z komfortem.

Poszedł wolnym krokiem na stację, ku torom. Wieczór już zapadał i nastrajał Zygmusia na bardzo rzewną nutę. Zaniedługo miał się pożegnać z życiem, z życiem młodem i pięknem.

Gdyby nie to półrocze!

Czyż nie wolałby siedzieć teraz w domu przy piecu, albo jeździć na ślizgawce w II. seminarjum żeńskiem?

— Pewnie, żeby wolał. Ale półrocza i tak nie przeżyje. Ułożył się wpoprzek na błyszczących szynach. Wpatrywał się chwilę na mrugające światła stacyjne, a potem zamknął oczy.

# O filmie dźwiękowym.

Film dźwiękowy sprowadził w przemyśle filmowym rewolucję mechaniczną i to wszechstronną; zmusił do zmiany nietylko gry aktorów filmowych, ale także wszelkich urządzeń wewnętrznych w pracowni filmowej. Usuwa on dotychczasową dowolność wytwórni filmu, przy której można było rozgrywać daną scenę w dekoracji ułamkowej, to znaczy wziąć jakiś kącik wielkiej pracowni, gdzie na prawo grano jedną scenę, jednocześnie na lewo drugą, w środku trzecią, a przed tem wszystkiem stało kilku operatorów i każdy kręcił po kolei kawałeczki to z jednej, to z drugiej. Wszyscy inni aktorzy, nie biorący w danej chwili udziału w grze, kręcili się również, padały komendy reżyserów, okrzyki operatorów, uwagi poszczególnych artystów, nieraz prywatne rozmowy.

Przy filmie dźwiękowym przyszedł na to wszystko »czarny koniec« — skończyła się swoboda artystów i dowolność inscenizacji. Pierwszem prawem, panującem w atelier filmu dźwiękowego, jest: cisza! Nie może się rozlegać żaden zbyteczny dźwięk. Mikrofon, zdejmując djalogi między artystami i wszelkie dźwięki, mające być ustalone następnie w filmie, wisi nad wszystkimi jak miecz Damoklesa i wyklucza wszelki zbyteczny, choćby najmniejszy hałas. Na scenie są tylko ci artyści, którzy próbują djalogu, czy sceny zbiorowej »mówionej«. Poza nimi mogą być obecni tylko robotnicy i mechanicy regulujący światło i ci poruszają się w największem skupieniu i ciszy. Wielkie zasłony, z grubych materjałów, od sufitu aż do podłogi oddzielają widownię, na której rozgrywają się poszczególne sceny filmu dźwiękowego. Tak jest zresztą w starych pracowniach, bo obecnie buduje się pracownie zupełnie nowe, z poszczególnemi »gabinetami«. Operator, zdejmujący aparatem filmowym znajduje się w zupełnie odosobnionym pokoiku, przypominającym małą klatkę, ze wszystkich stron zamkniętą, z której aparat jego i on »patrzą« na scenę przez wielką szybę z nieskalanie czystego szkła, stanowiącą ścianę tej klatki. Na głowie ma założone ściśle przylegające do uszu słuchawki, przez które słucha telefonicznych wskazówek operatora.

Do filmu dźwiękowego operator już sam nie »kręci« swego aparatu: włącza kontakt elektryczny i aparatem obraca motorek, ponieważ kręcenie zdjęć dla uzyskania »dokładnej synchronizacji« czyli »uwspółcześnienia« ruchów aktorów z dźwiękami musi być równomierne i dokładne na najmniejsze ułamki sekundy. W innej kabinie, również zupełnie izolowanej siedzi drugi technik, tak zwany »mixer« czyli »mięszacz« dźwięków, mający przed sobą szereg aparatów podobnych do naszych radjowych, który za ich pomocą reguluje i miesza głosy, zarówno od aktorów, jak i od instrumentów. Jest to bardzo ważna osoba w filmie dźwiękowym — od niego zależy nadanie właściwego dźwięku i właściwej barwy głosowi; wszystkie dźwięki i głosy reguluje on, wzmacnia lub osłabia, zależnie od potrzeby.

Słyszymy w filmie dźwiękowym, że głosy ludzkie przy rozmowie mają czasem »nadnaturalną« siłę, a dźwięki potężnej orkiestry sciszają się do ledwie słyszalnych. Łatwiejsze to jest do osiągnięcia przez »mixera«, niż, żeby aktorzy wysilali się do krzyku. Chwytający dźwięki mikrofon wisi bardzo blisko nad głowami grających i mówiących aktorów, albo też jest w jakiemś miejscu pracowni wbudowany. Na dźwięk odpowiedniego dzwonka elektrycznego wszystko w atelier milknie; reżyser przy swojem biurku, zawieszony niejako u »mówiącej« muszli,

---

Nie zwracał uwagi na jakichś ludzi, którzy ułożyli się obok, wybrawszy ten sam, co on rozkład jazdy.

Tak leżał czas jakiś w smutnem oczekiwaniu na pociąg. Za niespełna godzinę usłyszał metaliczny stuk, idący po szynach. Zbliżał się pociąg pospieszny — express międzynarodowy Wiedeń - Bukareszt. Rosły straszliwe oczy lokomotywy. Już pociąg o 100 metrów, w oczach Zygmusia migają na tle olbrzymich kół lokomotywy ostatnie obrazy z jego życia i najważniejszy powód jego śmierci: greka i łacina. Przypomniał, sobie jak na półrocze rysował na tablicy trumnę z napisem: D. O. M.

„Tutaj spoczywa biedny studencina,
Którego zabiła greka i łacina".

O, czy przypuszczał, że tak dosłownie i tak tragicznie na nim się to spełni!

Pociąg już o 3 kroki, dwa, j... już nad nim... Krzyknął...

— — — — — — — — — — — —

Różowy ranek oblał purpurą ciała samobójców i podarte ich ubrania...

Zygmuś otworzył oczy.

— Co to znaczy?

Zdumiony zerwał się. Rozjaśniło mu się wszystko.

Zdawało mu się, że już nie żył, a on leżał spokojnie na bocznym torze do browaru, express zaś przeleciał tuż obok.

* * *

Zygmuś jednak nie uszedł śmierci! Świadectwo półroczne, wbrew oczekiwaniom dobre, przyprawiło go o taką radość, że, skoro wziął je i spojrzał na nie, umarł nagle, rażony, według orzeczenia lekarza szkolnego, apopleksją!

Opis tego arcyciekawego autentycznego faktu pojawił się w „Czynie" z dopiskiem: „Redakcja życzy wszystkim Koleżankom i Kolegom takiego samego świadectwa półrocznego i takiego samego skutku, jak u kol. Zygmunta Nerwickiego".

Takiego samego świadectwa i takiej samej radości, jednak bez tragicznych następstw, życzy również wszystkim Koleżankom i Kolegom Autor.

J. K.

wypróbowuje, czy cisza jest doskonała, następnie próbuje sygnałów świetlnych — i z tą chwilą zaczyna się przyjmowanie filmu na płyty z kauczuku, odpowiednio spreparowane na wierzchu, albo też na taśmę filmową: stosowane są naprzemian oba systemy.

Wskutek tego wszystkiego koszta filmu dźwiękowego wzrosły bardzo znacznie w stosunku do filmu niemego. Według pobieżnych obliczeń, amerykański przemysł filmowy włożył w film dźwiękowy około 200 miljonów dolarów. Film dźwiękowy w przeciwieństwie do filmu niemego, który miał największą swobodę obracania się w przestrzeniach wszelkiego rodzaju aż do zupełnie »otwartego powietrza« — stał się niemal teatrem kameralnym. Trudno już jest robić wielkie ruchy, swobodne gesty, dzięki którym film niemy osiągnął zupełnie swoiste, potężne efekty — obecnie mimika i gesty aktora muszą być dostosowane do jego zasobów głosowych, do jego zdolności wyrażania uczuć mową.

Film dźwiękowy do tej pory ma pewne braki. Słabo rozróżnia się dźwięk i barwę głosów poszczególnych aktorów Wszelkie dźwięki niemuzyczne, jak rozmaite hałasy poboczne: trzaśnięcia drzwiami, tupot kopyt końskich w filmach mniej doskonałych są niesłyszalne, w innych zaś nabierają jakiegoś metalicznego dźwięku, co jest fałszowaniem rzeczywistości i psuciem nastroju.

Głośny aktor filmowy Jannings, bawiąc na gościnnych występach w Bratysławie oświadczył, że gdyby miał do wyboru między teatrem a filmem, to znaczy gdyby miał się zdecydować, czy ma wybrać film, czy teatr, wybrałby film, ponieważ rezonans we filmie jest znacznie większy. „Artysta filmowy, który jest indywidualnością, ma przed sobą świat cały, podczas gdy teatr ma bądź co bądź ograniczoną sferę wpływów“. Dlatego wybrałby film, chociaż teatr daje artyście możność bezpośredniego kontaktu z publicznością, a tej satysfakcji film obsolutnie niczem zastąpić nie może.

Na temat rywalizacji teatru z filmem oświadczył Jannings: „Przypuszczam, że film dźwiękowy ostatecznie pokona teatr. Teatr, jako instytucja pozostanie teraz tylko w wielkich miastach, natomiast w mniejszych miastach i na prowincji, wogóle teatr nie wytrzyma konkurencji z filmem. Konkurencja ta stanie się dopiero wtedy niebezpieczną, gdy zjawi się film plastyczny w barwach naturalnych. Są to perspektywy, których nawet sobie jeszcze dziś wyobrazić nie można. Wszak dotychczas mówiono wciąż, że film jest odrębną formą sztuki, która nie ma nic wspólnego z teatrem, a jednak sprawa ma się nieco inaczej. Jeśli już teatr tak dotkliwie odczuwa konkurencję kina, chociaż technika filmu dźwiękowego nie jest jeszcze tak doskonała — cóż dopiero będzie, gdy się technikę udoskonali“.

Na pytanie, czy dojdzie kiedyś do kryzysu filmu dźwiękowego, słynny artysta odpowiedział: „Gdy film dźwiękowy wyczerpie swe tematy, musi dojść do kryzysu, jak to miało miejsce z filmem niemym. Prawdą jest, że istnieje już przesilenie filmowe w Stanach Zjednoczonych. Ameryka dzięki swej organizacji, opanowała cały rynek filmowy, ale teraz nawet Anglja nie przyjmuje filmów amerykańskich, ponieważ angielszczyzna amerykańska denerwuje Anglików, natomiast film niemiecki coraz bardziej wysuwa się na plan pierwszy“.

*Letchaw.*

JAN BIELATOWICZ.

# Przez Słowację do Wiednia.

W uzupełnieniu notatek z wycieczki po Słowacji z numeru 2 należy dorzucić jeszcze kilka słów. Na sławnym hradzie trenczyńskim panował w dawnym czasie głośny Katuszczak, władyka, przypominający naszych książąt z ziem wschodnich, ogłaszający się udzielnym księciem Trenczyna i królem Słowacji. Był tak potężnym, że szydził z rozporządzeń i siły pracowitego króla i tylko pan na zamku Beckow był dla niego groźnym, gdyż mianował się jak on, słowackim kniaziem, co było przyczyną walk między dwoma uzurpatorami. Ks. Józef Branecki, pochodzący z polskiej rodziny, w licznych powieściach i nowelach pielęgnuje tę narodową legendę, tkwiącą korzeniami w historji.

Trnava, mimo, że jest małem miastem, nazywa się „słowackim Rzymem“; w dawnych wiekach była ośrodkiem katolicyzmu w przeciwieństwie do ewangielickiej Bratislawy. Dawniej Trnava była rywalką sąsiedzkiej Bratyslawy: tu był dawnej podczas niewoli Uniwersytet, siedziba rządu węgierskiego i pierwszego słowackiego, stolica arcybiskupstwa, które potem przeniesiono do Ostrzychomia, a dziś go w Słowacji niema wogóle. Dziś sława Trnavy przebrzmiała, cały ruch polityczny, a zarazem kulturalny i przemysłowy znajduje swój ośrodek w stolicy zwyczajem innych państw.

Bratislawa, zwana w dawnej Polsce Brzetysławą, w późniejszej z niemieckiego, Preszburgiem, po węgiersku Pozsany, leży niemal na granicy trzech państw Czechosłowacji, Austrji i Węgier oraz dwóch prowincji Słowacji i Morawy (nazwa Moraw w l. mn. nie jest uzasadniona) Powstanie swe zawdzięcza licznym przyczynom tradycji historycznej, jako ulubiony punkt Świętopełka, ruchom polityczno-religijnym, jako schronienie husytyzmu i placówka ewangelików, faworyzowaniu przez Austrję (zamek letni cesarzy) a potem, jako punkt operacyjny madziaryzującej polityki Węgier, a nadewszystko wspaniałemu położeniu, dziś jako placówka kulturalna i handlowo-przemysłowa republiki, a zawsze, jako ważny port dunajowy, niedaleko ujścia Morawy. Rząd republiki posiada projekt kanału między Wisłą, Odrą, Wełtawą i Dunajem, którego węzłem byłaby stolica Słowacji. Nic więc dziwnego, że posiadając tak wspaniałe warunki rozwojowe i

stawszy się stolicą narodu wolnego, Bratysława wykazuje nadzwyczajny przyrost ludności. Kiedy w r. 1921 liczyła 90.000 mieszkańców, w r. 1927 już 130.000, dziś szacuje się na 150.000 dusz. Ludność jej, jako wykładnik rozwojowy, jest niemiecka, austryjacka, słowacka, ale kto wie, czy nie najwięcej madziarska.

Z budowli wyróżnia się wspaniały kościół koronacyjny św. Marcina ze stylowemi witrażami, niknący wśród otaczających go kamienic. Na Starem mieście zachowała się z dawnego ratusza jedynie wieża, obok dawny pałac prymasa. Na placu Republiki przepiękna studnia renesansowa z św. Florjanem. Na tymże placu zjednoczone olbrzymie hotele Carlton i Savoy (800 pokoi).

Zamek bratysławski w nowożytnych czasach był zamkiem wypoczynkowym Marji Teresy. Jest to gród najpotężniejszy w Słowacji i jeden z największych w słowiańszczyźnie. Opis architektury zaprowadziłby za daleko. Na zamku stoi dziś straż honorowa. Z niego piękny widok na Szuchaj i miasto. Jest to dawny zamek koronacyjny: królowie, wjeżdżając nań na koniu, kierowali berło na cztery strony świata na znak, że z każdej strony gotowi są przyjąć wroga.

W samym punkcie granicznym u ujścia rzeki Morawy do Dunaju stoi wyniosła strażnica rubieży ziem słowiańskich: na strzelistej naddunajskiej opoce hrad Devin, niegdyś potężny, spogląda ku germańskiemu, ukrytemu w lasach, zamkowi myśliwskiemu Wolfsthal po austrjackiej stronie (rakuskiej, jak tu mówią). Bodaj, że to najpiękniejsza perła we wieńcu słowackich piękności. To dawny gród księcia Świętopełka. Dziś zostały ruiny. Ale znać na nich piętno potęgi. Tu wznosił się zamek olbrzym. Na podniebnej skale, jak uczucie słowiańskiej duszy sterczą kośćce twórczej myśli, poszarpane flanki, pogryzione gradami kul baszty, których siły czas zeżarł; słońce i wiatr przychodzą do nich w gości, niosą do słowiańskiego Dunaju pieśni pól i gór słowackich. Tu i ówdzie tajemne przejścia, z pod gruzów wystające jeszcze nowe wieżyczki, niezgłębione lochy podziemne i coraz nowe skarby. złoto i kruszec nieszlachetny, rycerskie zbroje — nieprzebrane miejsca śladów dawnej chwały.

Najeźdźca węgierski nazwał to miejsce „Porta Hungarica", a na wysokości Dziewina postawił wielki pomnik, Arpada dla wiecznej trwogi serc słowiańskich. Ale nie danem było obcemu władać na cudzej ziemi; kiedy od zachodu poczęły wiać wieści o oswobodzeniu ludu niewolnego, garstka śmiałków słowackich wysadziła w powietrze pomnik ten.

Kamień poleciał w nurty Dunaju i do dziś się trzyma, tak jak kurczowo trzyma się przybysz urodzajnej słowiańskiej ziemi. Stary Dziewin patrzy na pole morawskie. Tędy niegdyś kroczyły żelazne stopy polskich rycerzy: pamięta Dziewin ich potęgę, pomni chwałę Bolesława i małość Kolomana w oblężeniu preszburskiem.

O Bratysławie napisał Jur Bulla, jeden z pionierów słowackiej pieśni narodowej takie wiersze:

Bratysława, Bratysława!
Tam zapadła Sławów sława;
tam pogańskie hordy się wściekały,
młodzież Słowian wyrąbały.
　　Hej, Kosowo, krasne pole!
　　tyś sprawiło Serbom boleść;
　　tu wiał proporzec Lazara,
　　żyje o nim powieść stara,
Biała Góra, Biała Góra!
kryje ciebie hańby chmura.
Żyją jeszcze dzieci twoje, żyją,
Swoją winę krwią swą zmyją.
　　Ostrołęka, Ostrołęka!
　　rani serce twa pamiątka:
　　tyś pomnikiem polskiej sławy,
　　tam brat brata rąbał krwawy.
Hej, Słowianie, co to sława?
jedna nasza krew i sprawa
od Uralu, aż hen do Bałkanu,
dla nas złote zorze wstaną
　　I gdzie sioła są Rusina
　　i gdzie bydło Dalmatyna,
　　gdzie Adrja huczy, Sawa, Drina,
　　to kraj słowiańskiego syna.
I gdzie Tatry strome stoją,
gdzie fale Łaby kraj poją,
wznieśmy czoła, bracia, wznieśmy z wiarą,
niech wróg ciemny zniknie marą.

Jako dalszy ciąg opisu wycieczki, umieścimy w następnym numerze artykuł o hasłach panslawistycznych w literaturze słowackiej, ilustrowany licznemi przekładami pieśni słowackich. (Red)

ZYGMUNT SKORUPA, II. gimn.

# Moja ekspedycja krajoznawcza.

Poniżej zamieszczamy artykuł krajoznawczy, napisany z realizmem i humorem, w nadziei, że zachęci on wielu kolegów do badania przebogatych w nieznane zabytki okolic Tarnowa i do pisania tego rodzaju samodzielnych prac (Red.)

Kiedyś przed nauką spotkałem się z naszym redaktorem, a gdy mu powiedziałem, że mam iść w sprawach familijnych do Wojnicza, ten aż podskoczył (?) z radości, że trafia się okazja zrobienia czegoś w rodzaju badań przeszłości tego grodu.

Przez pięć godzin w szkole myślałem, w jaki sposób bez pieniędzy, których brak daje się odczuć obecnie każdemu studentowi, dostanę się na miejsce dość zresztą oddalone od Tarnowa. Autem naturalnie na gapę nie chciałem jechać, gdyż się obawiałem nie morskiej, ale lądowej choroby; nasz tramwaj dochodzi tylko do plant, skąd jest jeszcze do Wojnicza dość daleko, no a na hulajnodze nie przystoi jechać szóstoklasiście. Oberwałem wprawdzie dwóję z łaciny za nieuwagę, jednak sposób znalazłem, bo postanowiłem iść na piechotę, jako że ten środek lokomacji jest najtańszy i najbezpieczniejszy. Przed wymarszem wyjąłem z P. K. O. swoje oszczędności i kupiłem za nie dwa sugusy w Warszawiance, ktore niezmiernie „krzepią" co już zresztą reklamy niezbicie udowodniły. Uważając dobrze na zakrętach, szedłem wielce zamyślony bliskością

półrocza z jego niespodziankami i nad sposobami zasięgnięcia „języka" o Wojniczu, aż dopiero z zadumy zbudził mię hałas w szkole klasztornej w Zbylitowskiej Górze. Wrzało tam jak w ulu albo w naszej Zawodówce, to też zaraz poznałem, że to jest uczelnia i że w niej kształci się nie kto inny, jak tylko dziewczęta. Hałas ten pobudził mnie do szybszego marszu, to też wkrótce spostrzegłem szeroką dolinę Dunajca. W tej chwili przyszedł mi na myśl nudny wykład geografji o lodowcu Skandynawskim, który składał Polsce kilka wizyt. W czasie jednej takiej wycieczki wszedł on miejscami w głąb Karpat. Był on i tutaj, a był, bo pozostawił wiele zwałów kamiennych, które nauka nazwała morenami. Lodowiec ten, dążąc wciąż naprzód, wstrzymał wody Dunajca, który nie mając gdzie odpływać, stworzył sobie niedaleko dzisiejszego Czchowa jeziorko; gdy i ono się zapełniło, szły wody Dunajca do M. Czarnego, albo też ponad lodowiec. Po stopnięciu, a naukowo po cofnięciu się lodowca ukazał się na naszych ziemiach człowiek. Dlugo jednak żył on dziko, samotnie, ale później zaczęli oni się organizować w rodziny, plemiona, a wyrazem tego zorganizowania były nad rzekami najczęściej budowane grodziska, gdzie żyli oni wraz z dobytkiem, składali łupy wojenne i oddawali cześć bożkom i prochom swych przodków. Za broń służył im początkowo kamień, który później zaczęto obrabiać, ciosać, a wreszcie i gładzić.

Myśląc tyle o grodziskach, spojrzałem na prawy brzeg Dunajca, gdzie do dziś zachowały się wały takiego przedhistorycznego grodziska. Blisko takich grodzisk powstały osady jak Tarnów czy też Wojnicz. Legenda glosi, że Wojnicz dawniej nazywał się Trojnik, a było to wielkie miasto, bo posiadało aż trzy rynki. Jednak wskutek wojen upadło, a została tylko nazwa od zgubnych wojen — Wojnicz.

Wchodząc na most Dunajca, przeczytałem tabliczkę, która ostrzega, że nie wolno przewozić naraz więcej niż 10 ton, to też przeszedłem bez obawy, bo tyle nie ważę. Od mostu do miasta jest nawet na studencki chód daleko, ale to temu nic nie przeszkodziło, że na chwilę oglądnąłem stary drewniany kościółek, wybudowany w r. 1097, a datę tę wykryto „przy dokładnem poszukiwaniu na jednej z belek wiązań dachu". Tak jest zapisane w starej księdze kościelnej. Legenda powiada, że go miał święcić św. Stanisław, Biskup krakowski. Stojąc na uboczu przetrwał on wiele pożarów, a jako skromny nie zwrócił uwagi zbrodniczych Tatarów, czy później Szwedów. Do XIII wieku był kościołem parafialnym, a później po wybudowaniu nowego i murowanego stał się farnym, a dziś odprawiają się bardzo rzadko nabożeństwa.

Parafialny kościół jest o wiele dalej, ale wnet znalazłem się na plebanji, gdzie postanowiłem coś się dowiedzieć. Przy przeglądaniu starej bibljoteki robił mi trudności plebański „Bobek", piękny okaz rasy „kundys pospolity". Warczeniem i mniej przyjaznem błyskaniem oczkami w stronę moich czcigodnych spodni okazywał swoje niezadowolenie, to też został za karę wydalony za drzwi. Teraz spokojnie oddawałem się lekturze łacińsko-polskiej.

Wiele dokumentów, przeważnie z własnoręcznemi podpisami królów polskich, świadczy, że miasto to było w ówczesnych czasach znaczne. Nie otaczały go wprawdzie potężne mury, baszty, tylko potrójne i wysokie wały, a jednak wrzało w niem życie miejskie i handlowe. Była to Kasztelanja i siedziba Kollegiaty, a kasztelan wojnicki, który mieszkał przeważnie stale w Krakowie na dworze królewskim, był wielką osobą.

Ważnym dla Wojnicza jest rok 1381, w którym to roku Wojnicz staje się miastem na prawie magdeburskiem. Królowie troszczą się o to miasto, nadają przywileje, zwalniają mieszkańców od sądów staróścińsk ch, królewskich i t.d.

Jan Kazimierz, budowniczy Polski, zwalnia mieszkańców od ciężarów publicznych na trzy lata z powodu spalenia się miasta. Ciekawy jest dokument Zygmunta Augusta, który pozwala na pobieranie podatku jednego denara za pędzenie rogacizny przez główną ulicę miasta Wojnicza. Proszę — narzekamy teraz na różnorodność podatków, ale za taką rzecz nie pobiera magistrat opłaty nawet w Tarnowie. Początkowo miasto miało pozwolenie na odbywanie jednego rocznego jarmarku, później natomiast odbywały się one częściej, co było świadectwem rozwoju tej osady.

Średniowieczne miasta ulegały często pożarom, to też w jednym z dokumentów znajdujemy wzmiankę, że po pewnym pożarze liczył Wojnicz tylko 3 całe domy. Nic też dziwnego, że nie widzimy naokoło rynku zbitych i wysmukłych kamienic, jak to jest w innych miastach. Nie przyczyniło się do jego rozwoju położenie na ważnej drodze komunikacyjnej t. zw. „Szlaku węgierskim", idącym wzdłuż Dunajca. Droga ta była strzeżona przez liczne zamki, z których jeden był tuż przy Wojniczu w Wielkiej Wsi, gdzie dziś na miejscu potężnych niegdyś baszt i murów są małe ruiny, zarosłe krzewami.

Przy przeglądaniu tych starych ksiąg wpadła mi w ręce książka drukowana w języku łać., w której jest wzmianka o kościele murowanym w Wojniczu. Tekst ten przetłumaczyłem bez pomocy bryka i podaję go dosłownie:

„Kościół konsekrowany przez nieznanego biskupa jest pod wezwaniem św. Wawrzyńca. Kościół ten w czasie założenia był parafialnym do r. 1456, potem na prośbę Jana de Pniów (z Pniowa) uzyskał tytuł prepozytury. W następnych czasach był kollegiatą jako taki do r. 1773, a potem stal się parafialnym i jako taki jest do dnia dzisiejszego".

Obecnie pracują tutaj przy restauracji całej świątyni, a w planie jest wybudowanie potężnej wieży, której brak jest obecnie nieco drażniący.

Po przewracaniu wszytkich książek na plebanji poszedłem do magistratu. Przed drzwiam tej instytucji przypomniałem sobie o okularach, które zabrałem cioci dla dodania sobie powagi w czasie badań. Zaraz też przywdziałem je, ale zrobiło mi się jakoś dziwnie mglisto przed oczyma, toteż po otwarciu drzwi zaraz się potknąłem na wypróchniałym progu. Powróciwszy do równowagi wybębniłem na pamięc „regułkę", kim jestem i po co przychodzę, to też bez obawy pokazano mi odpisy dokumentów i co najważniejsze — stare pieczęcie, z których starałem się odgadnąć herb Wojnicza. Ale jakoś przez te binokle nie mogłem nic widzieć, a dopiero gdy nasunąłem je na koniec nosa, mogłem patrzeć „ponad" szkła.

Było mi z tem źle, ale okularów nie zdjąłem, bo jak powaga, to powaga. Teraz dopiero zbadałem, że herb ten przedstawia cztery baszty, na których wspiera się jakiś ptak (zdaje się, że to jest rysunek staropolskiego orła).

Z okna, w którem nie było ani jednej rozbitej szyby oglądnąłem przedmieście Zamoście, którego nazwa pochodzi od mostu dawniej tu płynącego Dunajca, jak również i stare „Kasztelańskie wały".

Jakkolwiek przyjęto mię oziębłe to natomiast pożegnano mię chętnie i radośnie. — Było już ciemno na ulicach, gdy wyszedłem z magistratu pełen wrażeń o bogatej przeszłości i niedoszłej świetności tego miasta, które nawet linja kolejowa Tarnów—Kraków ominęła, co niezmiernie wpłynęło na jego zastój rozwojowy. No ale trudno. Trzeba wiedzieć, że dawniej Tarnów, Wojnicz i Pilzno były równorzędne osady, a dziś... Tu przyszedł mi na myśl mój Tarnów tak, że nie wiem, kiedy znalazłem się w domu, gdzie usłyszałem już we drwiach powitanie:

— Zygmunt — oddaj okulary.

—o—

## Nowela do pierwszego Konkursu literackiego dla czytelników „Czynu" (III nagroda)

# Tany.

„Czasy studenckie, to epopeja pełna łez i humoru."

Zerwał się zimny, do szpiku kości przejmujący wiatr i począł niemiłosiernie szarpać trawy i drzewa. Otworzyły się upusty niebios i deszcz rzęsisty padał tydzień cały. W taki to czas Wicek wyszedł z domu.

Potop będzie, czy co — pomyślał i postawił kołnierz swego przewiewnego płaszcza, a czapkę nasunął na oczy. Ulice mrugały sennie oczami latarń.

Pomimo deszczu główna ulica roiła się od ludzi. Kiedy stanął na jednym jej końcu i spojrzał na drugi, widział mnóstwo parasoli, podobne olbrzymiemu ruchomemu baldachimowi. Na rogatce chwycił z parasolem Kazka, który go kawałek odprowadził. Przynajmniej chwilę nie kapało mu za kołnierz.

Nienawidził wody. Instynktownie omijał małe jeziorka chodnikowe — może dlatego, że już z przyzwyczajenia miał dziurawe buty. Jednakże lektura, która w czas pogody doskonale zastępowała zdarte przed półrokiem zelówki, okazała się teraz niedostateczną; rozmokła i przepuszczała wodę. Kiedy już nogi miał mokre po kostki, doszedł do przekonania, że więcej mu się nie naleje. Gdy minął drugą przecznicę, jak bomba wpadł w bramę kamienicy, licząc po trzy schody na krok, dostał się na trzecie piętro. Zgrzyt klucza w zamku... i otworzył mu wysoki młodzieniec o chudej twarzy i zaspanych oczach. Płowa czupryna pokręciła mu się we wszystkich kierunkach, jakby pod działaniem wiatru, wiejącego ze wszystkich stron naraz. Popatrzył z góry na przybyłego i zapytał:

— Czy nie umiesz delikatniej pukać? Taki sen miałem pikantny i przerwałeś mi go — serwus.

Weszli. Pokój był słabo oświetlony lampą naftową, która dymiła do tego stopnia, że Wicek, wszedłszy, raczej poczuł niż ujrzał światło. Usiadł na krześle o trzech nogach i zaraz przystąpił do rzeczy.

— Stary, w nocy będziesz spał. Słuchaj! Ty masz granatowe spodnie. Pożycz mi na dziś wieczór.

— A na co ci ich potrzeba?

— Dziś pierwsza lekcja tańców, więc chciałbym się zapisać — a widzisz, jakie moje. Tu pokazał mu dwie okrągłe rury nogawek porozrywanych i po studencku pocerowanych.

— Czy przypadkiem nie uderzył w nie kiedy piorun? — zażartował Felek Mięciaszek. Pożyczę ci swoich, ale dziś jeszcze musisz mi oddać.

Wicek uderzył się w piersi, mówiąc „pod hajerem" i w podane spodnie przyoblekł swe szanowne piszczele. Gdy już się zabierał do odejścia, Felek z wielce poważną miną wyjął z kieszeni kluczyk i po odemknięciu kuferka, stokroć sto tysięcy razy podziurawionego przez mole, wyciągnął kawałek „salami" i bułkę, którą przekroił na dwoje, jedną połowę podając Wickowi. Następnie podzielił „salami" i jedli obaj z wielkim apetytem. Wypalili po pół sporta i każdy z nich poszedł w swoją stronę, t. zn. jeden na tany, a drugi do łóżka, aby śnić dalej.

Wicek idąc, całą drogę myślał: jak to tam będzie, czego się będą najpierw uczyli, z kim będzie tańczył, wogóle przechodził w myśli wszystkie sprawy, dotyczące tańców. Oczyma duszy widział się obwieszonym ze wszystkich stron kotyljonami, mknącym z partnerką po sali. Słyszał miękkie tony walca i w takt posuwając nogami, ani się spostrzegł, jak wszedł do garderoby „Sokoła", gdzie córka pana mistrza przyjmowała od wpisujących się pieniądze. Spotkał tam kilku kolegów, w ogonku czekających na swoją kolej. Był Staszek Długas, Icyk Pikolo, Tadek Mrzonka i wielu innych. Tadek, zaledwie go zobaczył, zaraz krzyknął:

— O! Wicek! Co i ty na tańce?

— Naturalnie!

— I... najpierw powinieneś sobie oblicze przefasonować

— Ty zaś powinieneś sobie na czole napisać, żeś podobny do człowieka, bo inaczej nikt tego nie zauważy— odciął się Wicek.

Nareszcie przyszła kolej i na niego.

— Chciałem się także zapisać...

— Jak się pan nazywa?

— Wincenty Czeczot.

— Ile pan teraz daje?

— 3 złote. Proszę — podał pięć złotych — albo niech będzie całe pięć.

— Następny.

Z bijącem sercem wszedł na salę. Kilka lamp elektrycznych oświecało półokrągły szereg siedzących matek, uczenic i uczniów. Środkiem, sprężystym krokiem przechadzał się mistrz. Nim zaczął lekcję, zaproponował ogólne zapoznanie się.

Długim szeregiem postępowali studenci, przedstawiając się pokolei uczenicom i ich matkom. Wicek stanął w szeregu obok Tadka i robił to samo, co i on: matki całował w rękę, z panienkami witał się jak zwykle.

Nagle Tadek zaczął się dusić ze śmiechu. Dlaczego? Aha — uczenicę z czwartego kursu przez pomyłkę pocałował w rękę. Spiekł raka.

Wracając do domu, rozważał te dwie godziny, przepędzone na tańcach. Mocny Boże! Ile on się nadeptał panienkom po butach — ale nie przejmował się tem wcale, bo i one nic innego nie czyniły. Żałował tylko nowych lakierków tej drugiej blondynki, która mu ani raz nie weszła silniej na nagniotki.

— — — — — — — — — — — — —

Na drugi dzień, gdy przyszedł do „budy", Tadek zaraz zaczął swoje. Opowiadał o pocałowaniu seminarzystki w rękę, pokazywał pokolei wszystkie figury i pozy, jakie Wicek przy tańcu przybierał. Nie zapomniał także nadmienić, że gdy się panienki zwiedziały, jak Wicek wyśmienicie tańczy, nie dały mu ani chwilki wypocząć i wyraził nadzieję, że gdy tak dalej pójdzie, to przy „Damen-walcu" będzie poprostu rozszarpywany, a mistrz będzie miał w nim groźnego konkurenta. Kres wszystkiemu położył dzwonek. Do klasy wszedł profesor i zapisawszy nieobecnych, zabrał się do pytania.

Na szczęście nie jego wyrwał. Zaczęło się nudne wypowiadanie form, odmienianie we wszystkich możliwych czasach i osobach, opowiadanie życiorysów wielkich ludzi ze starożytności (którzy może wogóle nie istnieli) a nakoniec czytanie tekstu.

— Ciekawe, jak się autor w grobie czuje podczas takiego czytania — rzekł profesor, ale Wicek tego nie słyszał, bo układał plan na następną lekcję tańców. Tadek nie będzie się już wyśmiewał; ma złotego, więc pójdzie do fryzjera, to go wygoli i wyperfumuje. Co do butów to sobie pożyczy. Nagle, jak grom z jasnego nieba, padają słowa:

— Dalej tłumaczy Czeczot Wincenty...

A on i nie umiał i nawet książkę miał zamkniętą jeszcze. Prędko ją otworzył i wstał, nie wiedząc, o co chodzi. Coś podpowiadają... „najbardziej mi się to podobało, jak oni się pięknie wystrzegali..." Powtarza więc...

Lecz profesor zbliżył się do jego ławki, chcąc wykryć podpowiadacza. Znów powtarza to samo, kopiąc jednocześnie w nogę Mańka, aby mówił dalej.

— Przeczytajże następne zdanie!

Wicek patrzy do książki, lecz profesor zajrzał wcześniej i zauważył, że trzyma ją do góry nogami.

— To ty, młodzieniaszku, nie nauczyłeś się, a do tego jeszcze książkę trzymasz, jakbyś tekst umiał na pamięć — siadaj — o czem ty myślisz na godzinie?

Z ostatnich ławek ktoś rzekł półgłosem:

— O tańcach.

# NASZE ŻYCIE.

## Łyżwy.

Była zima w kalendarzu, ale nie na świecie!

Ale „chwycił" wreszcie taki groźny mróz, że aż strach! Szczypał wszystkich w nosy, szukających schronienia w oposowych kołnierzach, drapał uszy biednych studentów, chowające się mozolnie w obcisłe czapki.

Mniejsza o to! Żyjemy wszyscy, jest lód! Tylko niema łyżew! Ale to nic — postaramy się!

I już w wieczór, na skromnym lodzie, ale oświetlonym jasno i nastrojowo — radość życia...

Jazda na łyżwach!

Co za rozkosz sunąć lekko, zwinnie po kryształowej tafli ukochanego lodu.

A jak przyjemnie stawiać pierwsze kroki, raczej „przysiady", czy też „usiady" na lodzie! Jakąż niewysłowioną przyjemność sprawia głos komendy troskliwych nauczycieli tego sportu, trzymających cię z obu stron za ręce, (pewno dlatego, by nie upadli). „Nogi wtył, pochylaj się wprzód"! Cóż — kiedy właśnie nogi idą naprzód, głowa wtył i ty na lód — bęc!

Trudno! Inaczej wygląda wszystko w teorji, inaczej w praktyce!

A gdy sama się puścisz i odbijesz się wprawdzie tylko lewą nogą, a na prawej jedziesz, jak na obcasie, to i tak dusza ci rośnie ze szczęścia...

Chyba niema większej rozkoszy w życiu, jak tańczenie, czy tylko jeżdżenie wywijanego „holendra" czy „krakowiaka".

„Serce rośnie, patrząc na te sztuki", i my nieuki, wołamy z serca:

„Ja nie zazdroszczę, chowaj mię Boże,
I nic nikomu na Bożym świecie,
Jednego tylko zazdroszczę może,
Że wy się, ludzie, ślizgać umiecie!"

...Gdy stawiasz wstępne kroki na tej kryształowej tafli, gdzieś tam — w szarawym kącie lodu, zobaczysz czasami „sentymentalną parę", szukającą oczyma księżyca — w swych oczach.

Zdawaćby się mogło, że to „sielanka" — ale to tylko „koleżeństwo", bo bohaterzy są z jednej państwowej szkoły.

Lód — to radość, to życie!

...I zaiste...

Szlachetny lodzie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz —
Aż się zepsujesz!...

Zapomina się na lodzie, wśród radosnego życia o dręczących wiecznie troskach, katedrze szkolnej i grożących „czwórach".

Nic też dziwnego, że w jasne, mroźne dnie słyszysz tylko jedno pytanie: „Idziesz na lód?", jedną tylko prośbę gorącą, serdeczną: „Pożycz mi łyżew"!

*S. Ł. IV. kurs.*
I. Sem. im. Bł. Kingi.

Poza ślizgawką mamy atrakcję — nie tyle śliską, ile karkołomną — półrocze. Kiedy o tem się przypadkowo pomyśli, zjeżają się w panicznej trwodze wszystkie włosy na kołnierzu.

Ulice opustoszały i w ponurym blasku księżyca wyglądają, jakby przez Tarnów przeszła nie dżuma, ale „Ojciec zadżumionych".

Jak corocznie, tak i teraz zjechał do Tarnowa znakomity, światowej sławy magik i fakir indyjski p. Bu—Ja—Fra—Ye—Rów, który przepowiedział wynik półrocza: ma ono wypaść „naogół pomyślnie, za wyjątkiem niektórych wyjątków, gdzie wypadnie źle".

A więc bądźmy dobrej myśli.

Z równie wielką tęsknotą, jak półrocza oczekujemy śniegu. Oby spadł przynajmniej w takiej ilości, jak „dwójki" na półrocze w żeńskich zakładach, a zarazbyśmy pojechali kuligiem do Wojnicza. Niestety! dwójki, zdaje się, tam spadną, a śnieg nie.

W związku z ogólną depresją finansowo—duchową ustał wśród młodzieży ruch plotkarski i nadeszły tylko dwie wiadomości z życia w zakładach.

„Opłatek" w III gimnazjum odbył się w obszernej sali gimnastycznej, a to w celu pomieszczenia gigantycznego ponoć bufetu. Uroczystość zagaił p. dyr. Frączek, a potem przemówił kol. Niezgoda, jako prezes „Czytelni". Odegrano też jasełka układu i reżyserji p. prof. Wróblewskiego. Miła atmosfera uroczystości wywarła na uczestnikach niezatarte wrażenie. Wieczór zakończyły nieobjęte programem, zaimprowizowane tańce.

W I. gimn. omal, że nie przyszło do katastrofy. Już w powietrzu bowiem wisiał wyrok śmierci na dętą orkiestrę, ostatni zabytek Tarnowa. Na szczęście jednak przesilenie gabinetowe załagodziło się, grający postanowili dopełniać swych obowiązków i znowu słodkie dźwięki trąb a przedewszystkiem chluby orkiestry-bębna będą pieściły nasze uszy podczas uroczystości narodowych. Koniec szczęśliwy, ale już zanosiło się na to, że I gimnazjum przywdzieje żałobę.

A teraz nasze plany artystyczne.

Tarnowski Hufiec harcerski już od bardzo dawna przygotowuje sztukę: „Serce i śmigło". Największe trudności są podobno z dobraniem suflera.

II gimn. planuje wystawienie sztuki z pism niezupełnych Słowackiego: „Horsztyński".

Kl. VIII b. I gimn. ma odegrać w tych dniach sztukę „Orlęta" Reż. p. prof. Gorzejowski

## Uroczysty Wieczór ku uczczeniu Adama Mickiewicza.

Wieczorki Mickiewiczowskie przechodzą z pokolenia na pokolenie. Krzepiła się niemi młodzież pod zaborami, zbierając się gromadnie potajemnie, by w skupieniu uczcić wieszczów. Wspomina te wieczorki dobrze Kornel Makuszyński w „Bezgrzesznych latach". Ten wieczorek, któryśmy widzieli dn. 17. I. b. r. w „Sokole", urządzony staraniem uczniów III. gimn. przeszedł wszystkie zarówno starannem wykonaniem, jak i frekwencją publiczności. Dziwny to był nastrój: statua Mickiewicza i młodzież tłumnie wypełniająca salę.

Pan prof. Marzec wezwał zebranych, by skierowali uwagę na te hasła i idee, które były składnikami tego wielkiego umysłu i serca. Rzucił nam barwny w cytaty życiorys Wieszcza kol. Frączek. Zobaczyliśmy również śpiewaną „Odę do młodości", wykonaną z odczuciem przez uczennice I. seminarjum im. bł. Kingi.

Wreszcie dzięki kierownictwu artystycznemu i odtworzeniu głównej roli Konrada przez p. prof. Woźniaka odegrano z artyzmem III. część Dziadów. Dekoracje jak i kostjumy należycie dobrane, powiększały nastrój. Wszyscy aktorzy wywiązali się należycie ze swego trudnego zadania. Na czoło wybijali się prawdziwemi zdolnościami aktorskiemi, jak dykcją, mimiką i t. d. kol. Mężyk w roli ks. Piotra i kol. Zaremba, jako Sobolewski. Całości dopełnił chór sem. św. Jadwigi. W przerwach przygrywała sprawnie orkiestra III. gimn. pod batutą p. prof. Bisseka. Wieczorek ten pozostawił niezatarte wspomnienie.

## Koncert Dra Billiga i Prof. Przeorskiego.

23 go stycznia odbył się w sali Tow. Muz. koncert dwóch artystów z Krakowa. Dra. Billiga skrzypka i prof. Przeorskiego pianisty. Mieliśmy okazję usłyszenia poważnych utworów muzycznych w pierwszorzędnem wykonaniu. Koncert Głazumowa, współczesnego rosyjskiego kompozytora odegrany z ogromnem wirtuozostwem przez obydwóch artystów zachwycił publiczność Sonata Becthovena „Apassionata" wykonana przez prof. Przeorskiego z ogromną techniką, pięknem spiżowem, a mimo to miękkiem uderzeniem, wykazała, że jest to pierwszorzędny polski pianista, tylko zamało u nas reklamowany Dr. Billig ma piękny, głęboki ton, w arji Bacha uwydatniły się wszystkie najlepsze cechy jego gry. Nowy prezes Tow. Muz. p. Inż. Okoń rozpoczął swą działalność koncertme, stojącym na wysokim poziomie.

—o—

Dn. 5. I. 1932 opuścił nas na zawsze ś. p. Jan Szydek uczeń kl. VII gim. II w Tarnowie, zawsze pogodny i przez wszystkich kochany kolega.

Z dniem 1 lutego p. dyr. Antoni Herzig obejmuje dyrekcję III gimnazjum.

Dyrektorem II gimn. został mianowany p. dyr. Tadeusz Machalski.

## ERRATA:

W drugim numerze w artykule „Przez Słowację do Wiednia" zaszły pomyłki drukarskie w nazwach, które niniejszem z obowiązku prostujemy:

zamiast Liptow, Mikulasz ma być Liptowski św. Mikulasz
„ Beniakowskie „ „ Demianowskie
„ Dżumbice „ „ Dżumbir
„ Żylina „ „ Żylin
„ Trzavą „ „ Trnavą

W artykule prof. Stan. Szymańskiego: „Zagadnienie karności w dzisiejszej szkole średniej" w numerze poprzednim zaszły pomyłki drukarskie. W wierszu 26 zamiast: „karność zaś wewnętrzna jest aktem dobroczynnym", ma być „karność zaś wewnętrzna jest aktem dobrowolnym". W wierszu 66. zamiast „Karność ta jest już zespoloną z osobowością człowieka, a temsamem jest trwalszą od zewnętrznej, zależy awsze od istnieniaż wewnętrznego motywu obawy" ma być „Karność ta jest już zespoloną z osobowością człowieka, a temsamem jest trwalszą od zewnętrznej, zależnej zawsze od istnienia zewnętrznego motywu obawy".

W wierszu 74 zamiast „Jak bowiem wychowanie w szkole średniej przypada na dwa naturalne okresy" ma być „Tak bowiem wychowania w szkole średniej przypada na dwa naturalne okresy".

## Odpowiedzi Redakcji.

*Kol. S. Błoński.* sem. męsk. Artykuł „Twe jutro". Takie palnął kolega przekonywujące kazanie o obowiązkowości, że Komitet Redakcyjny postanowił odtąd solennie się uczyć i wogóle poprawić się. Ale moralizować, biadać nad wszystkimi i łamać nad nimi ręce, do niczego nie prowadzi. Artykuł ten mógłby wzbudzić jedynie uśmiech politowania. Prosimy o coś innego, ale bez tonu moralizatorskiego.

*Kol. J. Ż.* I. gimn. Dowcipy bardzo dosadne, nadto ten cykl pod tytułem: „W krakowskim tramwaju" wraz z wierszykami: Panie! czyś pan zwarjował

Z gramofonem się wpakował
— Jak pan śmie tak głupio gadać?
Z fortepianem miałem siadać?

znajdują się dziwnym trafem na przedwojennych płytach gramofonowych.

*Kol. Z. Golachowska.* II. sem. Wiersz: „Widziadła" Zastraszający chaos myśliwy (po polsku: bigos). Wiersz jest trzymany w zbyt statecznym tonie, a poezja powinna być wzlotem uczuć. Zazwyczaj u poetów po takich „niewyraźnych" utworach następują arcydzieła. Spodziewamy się ich.

*Sęp.* Wiersz „Zapadła zima sroga". Charakterystyczny jest urywek: „zimy mrozy, co wiążą jak powrozy nam ciała hart". Nie dla wszystkich zima jest taką plagą. Zagadkowe jest powiedzenie:

„Przed nami biała droga i miękki puch,
Gdy smutek duszą targa,
A w sercu głośna skarga etc
Jest to poezja zmarźlaka.
Forma zupełnie poprawna.

*Kol. H. E. gimn. II. kl. VII b.* Artykuł: „Stare zabytki, jako obraz kultury narodowej". Zapewne opierał się kolega na starych i nielicznych źródłach, bo są pewne błędy rzeczowe Nie uwzględnił kol. nowych badań, które rzucają wiele światła na liczne kultury wygasłe. Pozatem naszym hasłem jest twórczość młodych, gdy referat kolegi, rzecz jasna, mógł być tylko sprawozdaniem.

—o—

# Humor.

Nadesłali F. S., D. Z. i Lopek II. gimn., D. J. i Ska II. sem.

AKTUALNE.

— Kiedy twoja gadatliwa siostrzyczka najmniej mówi?
— W lutym
— Dlaczego?
— Bo to najkrótszy miesiąc.

SŁUSZNIE.

— Czy państwo mają w domu poezje Mickiewicza?
— My nie potrzebujemy, proszę kochanej pani, bo nasza córka sama pisze wiersze.

NA CHEMJI.

— Co oznacza formuła $H_2O$, Bębniarski?
— $H_2O$... formuła $H_2O$...
Nie mogę się wysłowić... ale ja mam to w głowie, panie profesorze.

PROFESOR.

— Dziś w nocy mieliśmy straszną burzę, panie profesorze.
— To dlaczego nie zbudziliście mnie?
Przecież wiecie, że podczas burzy spać nie mogę!

BIEDNY.

— Czy ty wiesz, że Henryk należy do ludzi, którzy mają więcej pieniędzy, niż rozumu...
— Tak, a w dodatku jest kompletnie niezamożny.

U MASARZA.

— Proszę pana o rękę córki!
— W plasterkach, czy jednym kawałku.

W SĄDZIE.

— Oskarżony żonaty?
— Boże chroń! Ja i tak dosyć naciepiałem się w życiu.

WŚRÓD PRZYJACIÓŁ KSIĄŻEK.

— Wczoraj czytałem taką książkę, że dziś mnie jeszcze głowa boli.
— Czy taka trudna do zrozumienia?
— Nie, ale ojciec wytargał mnie za włosy, bym takich książek nie czytał.

PO NIEMIECKU.

Izydor Kohn posyła swego syna do Niemiec, aby tam nauczył się dobrze języka niemieckiego. Na odjezdnem, żegnając syna, mówi ojciec:
— Pamiętaj Arturku, jak się już trochę nauczysz mówić, napisz list do mnie po niemiecku.
Po miesiącu otrzymuje Kohn telegram od syna:
„Wege die das habe lang".
Miało to znaczyć: Drogi ta—to, mam długi.

W ZAPALE RETORYCZNYM.

— Tak panowie, to co nam każe podziwiać wspaniałość Ludwika XVI, to jego odwaga i zimna krew, gdy wstępując na szafot, nie stracił on głowy!

W EPOCE TECHNIKI I RAT.

A. — Wiesz, trenuję się w biegach długodystansowych!
B. — Co za idjotyzm! Teraz, kiedy auta sprzedaje się na raty.

Z WSPOMNIEŃ WIGILIJNYCH.

— O mój Boże! Jest nas trzynaście osób przy stole.
— Niech się pani nie obawia! Ja jem za dwóch!

W SZKOLE.

Naucz. — Jak brzmi 7-dme przykazanie?
Uczeń: — Proszę nie kraść!
Naucz.: — Jakto „proszę"? Czy tak jest napisane w katechiźmie?
Uczeń: — Nie, ale przecież do pana profesora nie mogę mówić per „ty".

Z KARNAWAŁU.

— Jasiu, Jasiu! Jak ty się nie wstydzisz wracać do domu dopiero w biały dzień?
— Bo ja, proszę papy, nie lubię się włóczyć po nocy!

—o—

— Osądź sama, córeczko. Mojem zdaniem, wyjść zamąż dobrze, ale nie wyjść jeszcze lepiej. I cóż ty na to?
— Ja tylko dobrze postępuję.

XX. WIEK.

Lotnik w kinie do damy, która zasłania mu obraz swym wielkim kapeluszem:
— A możeby pani swój jednopłatowiec odprowadziła do hangaru.

MELOMAN.

— Lubi pan muzykę? pyta się właściciel pensjonatu swego gościa. A jaki instrument najbardziej się panu podoba?
— Dzwonek, wołający na obiad!..

GOSPODARZ, KTÓRY WCIĄŻ GNIEWA SIĘ:

Nic się nie uczysz, oj będzie źle!
Szkoła cię nudzi, nicponiu ty!
I znowu czwóra nad uchem grzmi.
A profesorzy wciąż męczą nas,
I pchają w głowę, co mają sił.
Jak Owid Naso o bogach śnił,
A Wergil wino i wodę pił.
I jak się Schiller na Olimp rwał,
I jak go Goethe pod górę pchał,
Jak logarytmy: sen, tasy i cos
Gdzieś komuś lepszy stworzyły los.

## Z książek nadesłanych.

**J. Hellin. Choroby zębów, ich przyczyny i sposoby zapobiegania.** Nakł. Gebether i Wolff r 1932 zł. 3.50

Do niewielkiej bibljoteki domowej, w której skład wchodzą książki, poradniki a zarazem bardzo pożyteczni doradcy życiowi, przybywa jeszcze jedna książka.

Któż z nas nie cierpiał na ból zębów, któż nie miał choroby zęba, nie był bezradny, nie wiedząc, co robić oraz nie mogąc udać się po poradę do lekarza (późna pora, lub brak pieniędzy). O wszystkiem tem opowiada powyższa książka łatwo i przystępnie miłym stylem. Zwraca uwagę czytelnika na objawy wstępne choroby zęba, na sposoby zapobiegania oraz przedewszystkiem jednak bez tonu moralizatorskiego na higjenę jamy ustnej. Wraz ze wstępnemi wiadomościami ogólnemi, stanowi książka rzecz nieodzowną w każdym domu, jak również jest bogatym materjałem do pogadanek w Kołach Młodzieży P. C. K. i uzupełnieniem wiedzy z zakresu higjeny.

**Podręcznik gralogji. A. Leinwand. Tarnów 1932 nakł. aut. cena 5 zł.** Rozwój intenzywniejszy grafologji, jako nauki datuje się dopiero od pierwszych lat naszego wieku. Bywa ona jednak nawet do dziś dnia uważana za szarlatanizm i mało wie społeczeństwo o jej szerokiem stosowaniu w sądownictwie dla wykrywania przestępców i w medycynie dla wykrywania chorób nerwowych i sercowych.

Bardzo ważne jest również zastosowanie grafologji w życiu codziennem. Pożytecznem jest przy pomocy znajomości kształtów liter odcyfrować charakter ludzi z otoczenia, oraz poznać siebie samego i przez to uchronić się od wielu błędów w życiu.

Do znajomości grafologji pobieżnej nie potrzeba długich studjów, wystarczy przeczytanie podręcznika A. Leiwanda, z którego pozna się rodzaje pisma, jak ductus, arkadyczny etc. i kształty liter.

Podręcznik A. Leiwanda jest pierwszą tego rodzaju książką polską i zastosowaną dla szerszej publiczności.

Książka jest zaopatrzona słowem wstępnem prezesa Polskiego Stow. Grafologów p. dyr. Leszka Dziamy.




*pod redakcją S. Wachtla.*

## Rozwiązanie zadań z N-ru 3 „Czynu":

UZUPEŁNIANKA: Rewolta, prezent, Sorento, migrena, lazaret, Moliere.

WIZYTÓWKI: Artysta malarz, terminator, sklepikarz, aptekarz.

SZARADA: Mizantropja.

LOGOGRYF: Artur Oppman.

SZARADA: Oceany.

ZADANIE OWOCOWE: Morele.

Ponieważ nadesłano większą ilość (14) rozwiązań, z czego 6 trafnych, Redakcja wylosowała nagrody (setka wizytówek), które otrzymali: Kol. Zofja Potempianka, szk. zaw kurs II., kol. Emilja Florkówna, sem. II. i kol. Józef Bogusz I gimn, klasa VIII.

Jako nagrodę za rozwiązanie wszystkich zadań z bieżącego numeru, wyznaczyła Redakcja nadal nagrodę 100 wizytówek.

### KRZYŻYKÓWKA SYLABOWA.

Ułożył Es-Wu.

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| 1 | | 2 | | 3 |
| | ■ | | ■ | |
| 4 | 5 | ■ | 6 | |
| ■ | 7 | 8 | | ■ |
| 9 | | | 10 | |

Znaczenie wyrazów.

Pionowe.

1) Galerja obrazów i dzieł sztuki. 4) Rzeka w Europie. 6) Oddział żołnierzy. 7) Niszczyciele. 9) Nazwa cieśniny w Ameryce. 10) Dziejopisarz rzymski.

Pionowe.

2) Rozbójnicy morscy. 2) Pokrywa drzew. 3) Powóz. 5) Obszar stepowy. 7) Sprzęt. 8) „Pani" inaczej.

W kratki wpisać odpowiednie sylaby, które utworzą wyrazy według podanego ich znaczenia W każdej kratce znajduje się jedna sylaba.

### ŁAMIGŁÓWKA KRATKOWA.

Złożyła M. Langerówna, III. kl., gimn. E. O.

| | | | | | Znaczenie wyrazów: |
|---|---|---|---|---|---|
| k | a | | | | Uczeń szkoły kadeckiej. |
| | k | a | | | Człowiek wyrabiający płótno. |
| | | k | a | | Służący u magnatów. |
| | | | k | a | Naczynie kuchenne. |

### UKŁADANKI LITERACKIE.

Cerkiew + zaimek wskaz. = dzieło Prusa.

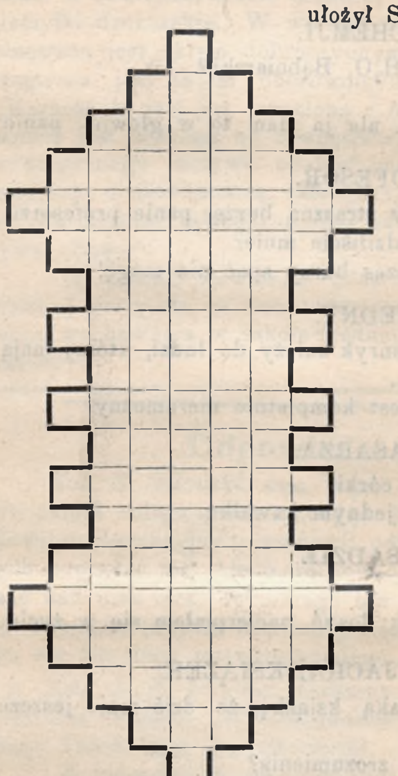
Litera fonet. + spółgłoska + miesiąc + litera fonet. = współczesny poeta polski.

Imię męskie zdrobniało + orkiestra + dwie spółgłoski = nowela Sienkiewicza

Spółgłoska + zaimek + dwie jednakowe spółgłoski = współczesny literat polski.

### LOGOGRYF.

ułożył S. W.



Spółgłoska.
Smoła pogazowa.
„Kamień" w jęz. martw.
Wygnanie.
Imię żeńskie.
Imię żeńskie rosyjskie.
Wyspa na Adrjatyku.
Połowa zdrobniale.
„Szybko" i inaczej.
Huragan.
Błazen, komik.
Kwiat.
Szajka inaczej.
Postać niewieścia z utw. Mickiew.
Lotnik.
Znana artystka sceniczna.
Pakunki.
Imię żeńskie zdrobn.
Samogłoska.

Środkowy rząd pionowy da znane przysłowie.

### LOGOGRYF IMIENNY.

Ułożył S. W.

Z liter: A A A B C D D E E E F I I I J K K K M Ł M N O O O R R R S T U U W Z ułożyć 6 imion męskich, których litery, tworzące przekątnię, utworzą siódme imię.

### BILETY WIZYTOWE.

Ułożył „Tetraedryt".

| I. Alicja J. E. Szoroptwow<br>p. Mińsk | St. E. Y. Radąsz<br>Krewo |
|---|---|

Odczytać zawód właściciela tych wizytówek.

### SZARADA.

Pierwsze — trzecie rosłe
Radby człek posiadać,
Aby mógł bezpiecznie
Nad ciężarem władać.
Wieszczów słowa złote,
Trzecie — drugie na marmurze,
Nie zniszczą ich wichry
Ani czasu burze.
One to nas w życiu
Wiodą w lepsze drugie — trzecie,
Wtedy człowiekowi łatwiej trwać na świecie.
Całość zaś król polski, wojny się nie strachał,
Prócz męstwa, rozumu, dobrze szablą machał.

# Wszyscy spotkamy się na
# Rewji
# studenckiego humoru

Dnia 8 lutego br. o godz. 7·30 wiecz. w sali „Sokoła", urządzonej staraniem pisma międzyszkolnego „CZYN" przez młodzież tarnowskich szkół średnich.

Kierownictwo artystyczne objął p. prof. Marcisz.

Naczelny redaktor: Jan Kwoczyński. Administracja: Stefan Silbiger. Kurator: Prof. Józef Skorupka.
Drukarnia Ludwika Styrny w Tarnowie.